



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Ptaki zimowe.

VNIV. IAGELL.
CRAGOVENSIS.

PTAKI ZIMOWE.

Zima wyludniła lasy, gaje i ogrody, liczne ptactwo, ożywiające je latem wesołym swoim świągotem, uleciało do cieplejszych krajów, z nami pozostały tylko wrony, szare wróbelki i niewiele innych, znoszących ostry nasz klimat przez rok cały. Śliczna raszka, na rysunku naszym przedstawiona, należy wprawdzie także do ptasząt wędrownych, odlatujących na zimę, lecz dość często się zapóźnia, w Listopadzie i początkach Grudnia pojawia się w pobliżu mieszkań ludzkich, do których wówczas śmiało się przysuwa, szukając pożywienia. Niekiedy raszki zimują nawet u nas, można je zatem napotkać pośród śniegowej zawiei, jak to rysunek nasz wyobraża.

Odlot ptaków na zimę powszechnie jest znany, lecz nie każdemu wiadomo, że gdy jaskółki, bociany i wiele innych odlatuje z naszych stron ku strefom południowym, natomiast od północy zalatują znów czasem do nas odmienne gatunki ptaków, nie widziane w lecie. Znacomity ornitolog, (zajmujący się nauką o ptakach) p. Władysław Taczanowski, zamieścił niedawno w Piśmie naukowem pod tyt. „Wszechświat” niezmiernie ciekawe szczegóły o tych zimowych gościach naszych; czytelnicy młodzi, dla których pismo pomienione zanadto jest jeszcze poważne, z przyjemnością zapewne odczytają ciekawsze ustępy z tego opisu, które tu dla nich streścimy.

Najosobliwszym i najpiękniejszym ptakiem z tej gromadki jest jemioluska, *ampelis garrula*, na dalekiej północy mieszkająca. Opierzenie jej ma barwę główną niezbyt jaskrawą, różową-szarą, lecz ożywiają je czarne z żółtem obrzeżeniem ozdoby, a zwłaszcza piękne płatki karmazynowe na końcach skrzydeł i wysoki czubek na głowce. Jemioluska zamieszkuje okolice podbiegunowe, od Laponii aż do Kamczatki, w Ameryce przebywa także w tejże samej strefie północnej. Na zimę przelatuje na południe, w Azji do Chin, Japonii i Mandżuryi, w Europie środkowej ukazuje się mniej lub więcej licznie co rok podczas miesięcy zimowych.

Ptaszki te lecą zwykle niezbyt licznymi gromadkami, świegocąc głośno, na odpoczynek sadowią się na szczytach drzew wysokich. Następnie rozpraszają się po lesie, szukając ulubionych jagód, jarzębiny, jałowcu lub jemioli, a w braku tych nie gardzą i kaliną. Od jałowcu mięso ich nabiera mocnej woni; jagody jemioli, od których nazwa ptaszków pochodzi, najwięcej je tuczą i delikatny smak mięsu nadają.

Stadka trzymają się zawsze razem, chociaż na żer rozlatują się pośród krzaków, po nasyceniu zwołują się znowu świągotem silniejszym i razem wypoczywają. Osobne stadka nie łączą się z sobą, każde koczuje w innym miejscu; ptaki te jednak spokojne mają usposobienie, nigdy nie spostrzeżono, aby wiodły pomiędzy sobą jakie swary lub walki.

Jemioluski są nieostrożne bardzo, łatwo się dają podchodzić strzelcom i łowić w sidła wszelkiego rodzaju, przykład nawet nie uczy ich roztropności, gdy jedne padają pod strzałami, lub trzepią się w więzach, inne spokojnie pozostają w pobliżu, nie uciekają na widok niebezpieczeństwa. Na wiosnę, gdy jagód zabraknie, objadają pączki drzew, zwłaszcza owocowych.

Przez czas długi nie zdołano wysledzić gniazd jemioluszek, niezbyt dawno dopiero angielscy ornitologowie wysledzili je w północnej Norwegii, Laponii i Finlandyi. Ptaszki te urządzają swe gniazda na świerkach i sosnach w różnych wysokościach, niekiedy bardzo nisko nad ziemią, z patyczków suchych, trawą i porostami pospajanych, wewnątrz wyściełają je puchem, mchem i sierścią renów. Jemioluski amerykańskie i wschodnie azyatyckie różnią się nieco od tych, które do nas zalatują i noszą właściwe nazwy gatunkowe.

Drugim gościem zimowym, najpospolicij do nas zalatującym, jest gil północny, *pyrrhula rubicilla*, większy nieco od gila pospolitego, zresztą zupełnie do niego podobny. Nie potrzebujemy opisywać tego pięknego ptaka, któż nie widział gila w karmazynowej kamizelce, tak świetnie odbijającej przy białości śniegu. On także zajada ze smakiem wszystkie jagody, lubione przez jemioluski, a że jest bardzo żarłoczny i przytem nieogłębny, bo psuje dużo jagód i ziarna, chociaż ich nie może pożreć, więc wypłasza zwykle z okolicy jemioluski, za co myśliwi żal mają do niego.

Przylatuje też do nas na zimę z tych samych okolic północnych mała, zwinna i zgrabna czeczotka. Poznać ją łatwo po ozdobnym, dużym krążku czerwonym, który zarówno samiec jak i samica mają na głowce. Samiec oprócz tego odznacza się różowem zabarwieniem na piersiach. W ciężkie zimy ogromne stada czeczotek spadają na lasy brzożowe i olszowe, lub na łąki, gdzie wydobyć mogą z pod śniegu jakiegokolwiek resztki ziół, lub rozsypane nasiona

chwastów. Lebiodeę szczególnie lubią niezmiernie. Zwykle oznajmijają obecność swoją donośnym gwarem.

W listopadzie zazwyczaj przybywają do nas stadami śnieguły, *plectrophanes nivalis*, ładne ptaszyny, trzymające miejsce pośrednie pomiędzy poświerkami i skowronkami. W naszych stronach, w porze zimowej, śnieguły mają upierzenie jasno szarawe, z rudawymi smugami, lecz w ojczyźnie swój, na północy, prawie zupełnie bieleją, co stąd pochodzi, że szare obrzeżenie pierza ściera się stopniowo. Śnieguły przebywają zwykle na ziemi, stada ich sadowią się na otwartych łąkach i zjadają nasiona ziół różnych, z pod śniegu dobywane, zbierają też i po drogach pogubione ziarna zbożowe. Gnieźdzą się w północnych okolicach, w miejscowościach skalistych, pomiędzy kamieniami i w szczelinach różnych, gniazdo wyściełają sierścią lisów i renów, zbieraną starannie i puchem innych ptaków, zwłaszcza miękkimi piórami pardwy.

PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH,

przekład z angielskiego.

I.

Urodziny.

Janek Gedney urodził się w pięknej krainie amerykańskiej, zwanj Kentucky, był synem osadnika. Gdy skończył lat dwanaście, spotkała go radość wielka, ojciec darował mu na urodziny pyszną nową strzelbę.

Trzeba wam wiedzieć, że prowincya Kentucky wydała wielu słynnych i znakomitych strzelców; tam bowiem osadnicy europejscy najwcześniej obrali sobie siedlisko, a nieraz wśród dzikich puszczy i lasów musieli staczać walki zawzięte, nietylko z drapieżnymi zwierzętami, lecz ze strasznymi jeszcze krajowcami. Bitwy pomiędzy czerwonoskórymi Indianami i białymi osadnikami powtarzały się tak często w tej okolicy, że Kentucky przewano „krainą krwawą”, a każdy, kto się tam osiedlał, musiał się przygotować do walki i obrony.

Jednym z najdawniejszych i najslawniejszych osadników Ameryki północnej był Daniel Boone. On to pierwszy zapuścił się śmiało w dzikie lasy, rozciągające się na południowym wybrzeżu rzeki Ohio, przebył tam sam jeden kilka miesięcy, odkrył grunta niezmiernie żyzne i do uprawy stosowne, a później wskazał drogę i dał przykład innym ochotnikom. Gdy rozeszła się po świecie wiadomość, jakie mnóstwo zwierzyny przebywa w tych puszczech, jakie skarby wydobyć można z tej ziemi, ręką ludzka nietkniętą, coraz liczniejsze gromadki wychodźców europejskich kierowały w tę stronę swe kroki i prowincya Kentucky szybko zaludniać się zaczęła.

Pomiędzy tymi wychodźcami, którzy przy końcu ubiegłego stulecia przybyli z Anglii szukać szczęścia na drugiej półkuli, znajdował się Tomasz Gedney i żona jego Abigail. Dostawszy się na wybrzeża rzeki Ohio w towarzystwie kilku innych rodzin, wędrowcy pobudowali dużą tratwę i popłynęli dalej z prądem rzeki. Upatrzyli wreszcie miejscowość stówną, wylądowali, rozebrali tratwy i drzewo użyli do budowy swoich mieszkań, wcale niewyszukanych, jak domyślają się czytelnicy.

Było to właśnie w porze spokojniejszej nieco, o napaściach Indian nie słyszano od pewnego czasu w okolicy. Osadnicy, dawniej w tych stronach zamieszkali, nie pamiętali jeszcze tak długiej przerwy, wnosili ztąd, iż dzicy

krajowcy uznali bezsilność swoją wobec białych ludzi, których liczba ustawicznie wzrastała i cofnęli siedziby swe dalej, w głąb puszczy niezmiernych, rozciągających się wzdłuż wybrzeży Mississipi. Ośmieleni tem nowo przybyli, nie osiedlali się w pobliżu tych dawniejszych mieszkań, lecz zapuścili się dalej w lasy, szukając rozleglejszych przestrzeni i malowniczych widoków. Napotkali też w rzeczy samej miejsca odkryte, obszerne łąki, które odrazu mogli uprawiać i zasiewać zbożem, nie zadając sobie trudu ścinania drzew i karczowania gęstwiny leśnej.

Tomasz Gedney z odważną i dzielną żoną swoją zawędrował najdalej, przebył znaczną przestrzeń lasu i osiedlił się w przesłicznój okolicy. W najbliższem sąsiedztwie jego, o milkę na wschód, zamieszkała rodzina Burtonów, niemniej zacna i pracowita, a o milę dalej w tym samym kierunku rozsiadła się cała gromadka domów drewnianych, która z czasem urosła na jedno z najznacniejszych miast dzisiejszego stanu Kentucky.

Pan Gedney wybrał na osadę swoją polankę odkrytą, przerznąętą bystrym strumieniem. Mógł tam odrazu przeszło akr kwadratowy gruntu uprawiać na zasiewy zboża i warzyw. Wszyscy wędrowcy, którzy przybyli tu razem na obczyżnę, pomagali sobie wzajemnie w budowaniu mieszkań, wkrótce też wspólnymi siłami narąbali dostateczną ilość bierwion drewnianych i domki jeden po drugim szybko się wznosiły. W rok po przybyciu na ziemię amerykańską rodzina Gedneyów się pomnożyła, przybył na świat Janek, rósł i chował się zdrowo, a rodzice uszczęśliwieni z większym jeszcze zapalem pracowali, myśląc o przyszłości ukochanego dziecka.

Musimy tu jeszcze dodać, że te domy drewniane, jakkolwiek śpiesznie i sposobem pierwotnym budowane, wybornie jednak były zabezpieczone od możliwych napadów. Urządano je zupełnie, jak blokauzy, małe twierdze wojskowe. Liczył na to, że Indianie zaniechali walki z białymi ludźmi, byłoby szaleństwem ze strony tych ostatnich; krajowcy amerykańscy znani są ze swęj niesłychanej chytrności i zawziętości. Jeśli ucichli na czas jakiś, mogli to uczynić właśnie w tym celu, aby czujność nieprzyjaciół uspić i tem pewniej ich potem pokonać.

Ale nie mamy zamiaru opowiadać dziejów szczegółowych tej całej gromadki osadników, po tem krótkim wyjaśnieniu powrócimy do owego pamiętnego dnia urodzin Janka, gdy jako młodzieniec dwunastoletni otrzymał od ojca dar drogocenny, nową, piękną strzelbę. Nie wyobrażajcie sobie jednak, ażeby chłopak teraz dopiero pierwszy raz broń wziął do ręki. Odkiedy zdołał nauczyć się zamykać lewe oko, podczas gdy prawe było odemknięte, ojciec zaprawiał go do strzelania. Ojcowska ogromna rusznica za ciężka była na jego dziecinne ramiona, więc zwykle mierzył kłęcząc przy kłodzie ściętego drzewa, lub przy odłamie skały, na którym lufa była oparta, a mierzył tak celnie, że słynny Daniel Boone, obecny dnia pewnego tym ćwiczeniom, pogłaskał malca po główce i głośno go pochwalił.

W owych czasach celne i śmiałe strzelanie było największą chlubą każdego osadnika amerykańskiego. Tomasz Gedney nikomu nie ustępował w tej sztuce i pragnął gorąco, aby syn jego jedyny odziedziczył po nim sławę doskonałego strzelca. Matka uczyła chłopca czytać i pisać, ojciec zabierał go z sobą często do lasu, jak tylko podrastać zaczął i wykładał mu tajemnice szlachetnego rzemiosła myśliwskiego. Uczył go rozpoznawać ślady i tropy rozmaitych zwierząt, opowiadał o ich zwyczajach, o podstępach, których używają dla zmylenia myśliwca i wskazywał środki podejścia ich do wciwniejszymi jeszcze myśliwskimi podstępami. Nie zapomniał też roztropny osadnik przygotować syna do spotkania z najniebezpieczniejszymi przeciwnikami w tej puszczy, to jest z dzikimi krajowcami.

Chociaż lat tyle przeżyli tu spokojnie, nie zaznali krwawych zajęć, które tej krainie smutny rozgłos nadały, p. Gedney wiedział dobrze, iż zmiana mogła nastąpić niespodziewanie, gdyby powód jakiś rozdrażnił na nowo dzikie plemiona, rządzące się jedynie namiętami porywami.

Całe urządzenie domu Tomasza Gedneya świadczyło o tej nieustannęj jego przezorności. Był to budynek mocny, z grubych bierwion złożony, opatrzony bardzo starannie i troskliwie. Przez okienka wąskie, małe, dziecko zaledwie zdołałoby się precisnąć, na noc zasuwano je deszczułkami, szyby szklane były wówczas w tych stronach nieznanym zbytkiem. Dach wznosił się stromo, bez żadnej krawędzi. do którejby się można nczepić, najzręczniejszy gimnastyk nie potrafiłby się na niego wdrapać, a drzwi, z potężnych grubych desek zbite, nie ugięłyby się z pewnością pod najmniejszymi pięściami. Ażeby się dostać do wnętrza tej małej twierdzy, napastnicy potrzebowaliby prawdziwy szturm przypuszczać.

Tomasz Gedney nieraz miał do czynienia z Indianami, i znał doskonale ich charakter i obyczaje z opowiadania dawniej zamieszkałych osadników. Zapoznając syna z całą przyrodą tej krainy, która się stała drugą jego ojczyzną, nie zaniedbał także dać mu dokładnego wyobrażenia o krajowcach czerwonoskórych, ich sposobie postępowania, ich przekonaniach i upodobaniach, a tem samem nauczył go, jakie postępowanie ze strony białych osadników najzbawienniejszy wpływ wywrzeć może na te dzikie istoty. Wszystko to w danych okolicznościach zdawało się zbyteczne, okazało się jednak później, że przezorność nigdy nie wadzi.

Pośród licznych przestróg, dawanych synowi przez tego troskliwego ojca, najważniejszą może i najczęściej powtarzaną była ta, aby nigdy nie zapomniał po wystrzeleniu natychmiast nabić strzelbę na nowo. Niecierpliwość obejrzenia zabitéj, choćby najwspanialszej zwierzyny nie powinna go była od tego powstrzymać. Następnie, by pamiętał o tem, że w lesie niebezpieczeństwa otaczają go zewsząd, że zatem nie dość jest patrzeć przed siebie, lecz na wszystkie strony raz po raz oglądać się należy.

Rady i przestrogi, tyżące się możliwości spotkania z czerwonoskórymi krajowcami, były niezmiernie drobniagowe, ojciec mówił o tem często i Janek wiedział doskonale, jak ma sobie w takim razie postąpić. Przedewszystkiem, gdyby było najlżejsze podejrzenie obecności Indian w lesie, roztropność nakazywała zacierać jaknajstaranniej ślady swoje, aby ując przed bystrym ich wzrokiem. Gdyby miał towarzyszyć, należało rozstać się z nimi, obmyśliwszy wprzód jakiś sposób porozumienia się, którego by dzicy nie poznali. Wreszcie na wypadek spotkania oko w oko nieprzyjaciela, najważniejszą rzeczą było, jak upewniał Tomasz Gedney, nie stracić głowy, zachować spokój i krew zimną, myśleć o tem nieustannie, że najdrobniejsza nieostrożność, zapomnienie chwilowe, poruszenie niecierpliwości, okrzyk niewłaściwy, lub coś podobnego, może nas o śmierć przyprowadzić.

Takie mniej więcej były nauki, udzielane Jankowi przez ojca podczas długich myśliwskich wycieczek, które obaj odbywali często, gdyż p. Gedney zaopatrywał stale spiżarnią swęj żony w najwyborniejszą zwierzynę. Chcąc ażeby Janek teraz po ukończeniu lat dwunastu mógł polować już na własną rękę, ojciec sprowadził mu z miasta owę strzelbę wyborowego gatunku, a przytem znacznie lżejszą niż jego własna, której chłopak, chociaż silny na swój wiek, udźwignąć nie mógł. Jeszcze w owych czasach nie znano tak wydoskonalonej broni, jak za dni naszych, ta strzelba, która w zachwycenie wprawiała Janka, nie zadowolniałaby pewnie tegoczesnego myśliwca; nabijanie jęj było dość mozolne i kłopotliwe, nabój miała jeden tylko, ale wszystko zależy od wyobrażeń, gdy lepszych nie znano, i takie wystarczały najwybredniejszym wymaganiom. W Ameryce zwłaszcza broń palna, nawet i najpierwotniejszego wyrobu, stanowiła już znakomite wyróżnienie od łuków i siekier, tak zwanych tomahawków, w które uzbrojeni byli krajowcy.

II.

Popis młodego strzelca.

Jakkolwiek Janek Gedney oddawna już marzył o posiadaniu własnej broni i wiedział, że marzenia te wcześnięj

czy później urzeczywistnić się muszą, jednakże widok tej ślicznej, nowiuteńkiej strzelby sprawił go w nieopisane zachwycenie; miał wielką ochotę pochwycić ją w objęcia i uściskać, jakby istotę żywą i ukochaną. A cóż dopiero, gdy ojciec powiedział, że od dnia tego uważa go już za rozsądnego młodzieńca i że może odąd chodzić sam po lesie z tą strzelbą i polować, kiedy mu się podoba; chyba żeby zawiodł zaufanie jego, lecz tego Janek się nie obawiał, ani ojciec podobno.

Gdy minęły pierwsze chwile zachwytu, p. Gedney zdjął własną strzelbę, zawieszoną na ścianie obok rogów jelenich i innych myśliwskich trofeów, potem poszedł wraz z synem o kilkadziesiąt kroków od domu, ażeby nową broń wypróbować. Czyż potrzebujemy dodawać, że wraz ze strzelbą Janek dostał spory rozek prochu i torebkę pełną kul. Nabił więc najpierw własnoręcznie swoje strzelbę i poszedł za ojcem. Stanęli w miejscu, gdzie otwarta polanka łączyła się z gęstwiną. Na gałęziach drzew nadbrzeżnych skakały wesołe wiewiórki. Ojciec wskazał na nie i półgłosem rzekł Jankowi, aby jedną z nich wybrał i wziął na cel; sam zaś, podczas gdy chłopiec się namyślał, ściał nożykiem pręt z orzechowego drzewa i oczyszczał go z liści. Janek z pod oka spojrzął na to, wiedział on dobrze, co ten pręt miał znaczyć. Może też widok ten wpłynął cokolwiek na jego postanowienie, gdyż po chwili namysłu wskazał ojcu wiewiórkę, siedzącą dość nisko na drzewie niezbyt oddalonym i do tej mierzyć zaczął.

— Wolałbym — rzekł ojciec — żebyś strzelił do tamtej ciemniejszej, co tam na drugim drzewie ukrywa się wśród liści.

To był strzał daleko trudniejszy, ale Janek chciał się przed ojcem popisać, więc wziął na cel ciemniejszą wiewiórkę, wymierzył jak tylko mógł najuważniej i przycisnął cyngiel. Rozległ się strzał, a p. Gedney, który oczy miał wlepione w wiewiórkę, ujrzał ją nagle chwiejącą się i spadającą z jednej gałęzi na drugą, aż w końcu zatrzymała się na ziemi u stóp drzewa.

— Dobrze, pójdzcie ją tu przynieś — rzekł ojciec.

Ale Janek nie poruszył się z miejsca, lecz w milczeniu zaczął strzelbę nabijać na nowo, podsypał prochu na panewkę, włożył kulkę, jak należy i nie oderwał się od tej roboty, póki jej nie dokończył zupełnie. Ojciec uśmiechnął się z zadowolenia, byłby wybaczył, gdyby chłopak na ten raz zapomniał o jego przestrogach, rad był jednak, że o nich pamiętał.

Załatwiwszy się z nabiciem strzelby, Janek pobiegł śpiesznie po swoją zdobycz, podniósł kosmate zwierzątko, leżące w trawie i z uśmiechem tryumfu pokazał je ojcu z blizka. Ten uśmiechnął się także, obejrzawszy wiewiórkę, potem położył ją na trawie, wziął pręt orzechowy i zarzucił go w gęstwinę leśną.

Czytelnicy zapewne są ciekawi, do czego miał służyć ten pręt, przygotowany w chwili, gdy chłopiec gotował się strzelać do wiewiórki? Gdyby kulka trafiła była, nie wprost w głowę, lecz w inną część ciała zwierzątko, niezręczny strzelec dostałby był porządnie tym prętem po łydkach. Janek znał się na tem, bo nieraz już w życiu dostał podobną nauczkę i uważał to za rzecz całkiem sprawiedliwą. Ojciec zaś niezmiernie znaczenie przywiązywał do tego, aby jedynaka wykierować na doskonałego strzelca, sposób ten, powszechnie przyjęty przez osadników amerykańskich, wydawał mu się dobry i skuteczny, czemuż więc nie miał go używać, jak to czynili inni?

— Palnij jeszcze do tej drugiej! — zawołał p. Gedney, wskazując synowi żwawą wiewiórkę, uwijającą się wysoko, aż pośród korony wspaniałego drzewa, i puszystym ogonem migającą pomiędzy liśćmi.

W chwili, gdy strzał donośny przebił powietrze, wiewiórka podskoczyła nagle na parę stóp w górę, jakgdyby za dotknięciem sprężyny, następnie opadła na gałęzie i z wolna spuszczała się coraz niżej, aż wreszcie spoczęła na trawie martwa i nieruchoma. Strzał i tym razem był mistrzowski, p. Gedney obejrzał wiewiórkę w milczeniu, nie przyszło mu

nawet na myśl głośnemi pochwałami uczcić te świetne czyny chłopca, chociaż w rzeczy samej zręczność jego przeszła oczekiwania ojcowskie.

(d. c. n.)

KSIEGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Słusznie przezwano Afrykę tajemniczym lądem, dotychczas bowiem ta ziemia prastara, przynajmniej w częściach swych środkowych, wewnętrznych, daleko mniej dokładnie jest znana od Ameryki, tak niedawno stosunkowo odkrytej przez Kolumba. Za dni naszych dopiero ze wszystkich stron poczęli się wdzierać w głąb Afryki nieustraszeni podróżnicy, Livingstone, Stanley, Cameron, Savorgnan de Brazza, Nachtigall i wielu innych, do których dodać należy i naszego dzielnego Szolca Rogozińskiego, ci zdjęli już w części zasłonę tajemnicy z afrykańskiego lądu. Opowiadania tych wędrowców wykryły szczegóły całkiem niespodziewane. Widok rozległy pustyni Sahary, pokrytej śpiękami piaskami, ustalił był przekonanie powszechne, że cała Afryka środkowa podobną jest do tej smutnej, wydziejzionej krainy. Tymczasem okazało się całkiem co innego; zdziwionym i zachwyconym oczom podróżników przedstawiły się niespodzianie ogromne jeziora, jakby morza wewnętrzne, wspaniałe rzeki, lasy i puszcze odwieczne, najrozkoszniejszy świat roślinny i zwierzęcy, a co więcej, przekonano się, iż klimat w wielu okolicach Afryki zabójczy, dalej, w głębi lądu, jest przyjemny, umiarkowany i zdrowy.

Niestety! wśród tej uroczej przyrody człowiek, król i pan stworzenia, stanowi potworny, straszliwy kontrast, czarną plamę zaznacza na tym obrazie. Okropna rana ludzkości, niewolnictwo, które już dzięki Bogu prawie zupełnie znikło z widowni świata cywilizowanego, w Afryce trwa jeszcze w całej sile, a od lat dziesięciu czy kilkunastu zaczęło z rozmaitych powodów wzrastać w sposób najokropniejszy. Religia mahometańska pobiła i sprzyja niewoli, to też handel ten głównie w swych rękach trzymają tam muzułmanie, a prowadzą go tak cicho, podstępnie, że do niedawna nie wiedziano o sprawkach ich w Europie.

Niezbyt dawno w Algerze i innych posiadłościach francuzkich w Afryce mianowany został prymasem kardynał Lavigerie, prawdziwy apostoł w duchu Chrystusowym, czcigodny kapłan pełen energii, odwagi, wytrwałości, a przede wszystkim przejęty nawskroś tem wielkiem i szczerem uczuciem miłosierdzia chrześcijańskiego, które cudów dokazuje. Zamieszkawszy w Afryce, zaczął on szukać pola dla gorących porywów, ciągnących go do działania, znalazł je bardzo prędko. Przekonawszy się, że pomiędzy muzułmanami, pogrążonymi w obojętności i drzemce ducha, nie wielu znajdzie takich, którzyby się dali nawrócić do słodkiej Chrystusowej wiary, zwrócił usiłowania swoje do nieszczęśliwszych braci, żyjących w ciemnocie najokropniejszej, a przytem cierpiących prześladowanie najcięższe. Mówimy tu o plemionach murzyńskich, zamieszkujących Afrykę środkową i wydanych na łup handlarzy niewolników.

Wysłani przez kardynała misjonarze, od białych sukien przezwani przez krajowców „Ojcami białymi”, oplakane wieści mu przynosili z dalekich i niebezpiecznych swych wędrowek w głąb tajemniczego lądu. Opowiadania ich grozą przejmują każdego, trudno uwierzyć aby serce ludzkie mogło dojść do takiego okrucieństwa i lekceważenia życia bliźniego. Chwywanie niewolników przez bandy handlarzy, a raczej rabusiów muzułmańskich, odbywa się w sposób tak barbarzyński, że włosy na głowie powstają na samą wzmiankę o tem. Wyobraźcie sobie, że straszni ci ludzie, od dzikich bydłat drapieźniejsi, palą całe wioski i podczas pożaru ludność biorą w niewolę, wiążąc wszystkich, i jak trzody bydła uprowadzając na sznurach i arkanach. Uciążliwa podróż, niedosta-



Witaj, witaj, Roku Nowy!
Na dziecinne, jasne głowy
Zdroje światła zlej,
Niech twe słońko Nowy Roku,
Zamiast szarzeć w mgieł obłoku,
Światłem więczy skroń.
I tym wszystkim, którzy pracą
Kształcą umysł, kraj bogacą,
Bratnią podaj dłoń.

Gabryela Jasieńska.

tek, rozpacz, zabija połowę tego ludzkiego towaru po drodze; słabszych na każdym prawie noclegu i popasie pozostawiają na pastwę śmierci w pustyni, resztę pakują na dno okrętów i dostawiają do portów, gdzie się odhywa sprzedaż niewolników.

Wyludnienie siedzib atrykańskich postępuje z tego powodu z szybkością tak przerażającą, że jeśli narody cywilizowane nie przeszkodzą takim bezprawiom, wkrótce zapewne piękna i bogata ziemia pozostanie zupełnie pustą i pozabawioną mieszkańców. Otóż to na tę nędzę strasliwą zwrócił uwagę czcigodny kardynał Lavigerie, i jakby nowy Piotr Pustelnik począł nawoływać narody europejskie do krucyaty przeciw nieczym barbarzyńcom, hańbiącym ludz-

kość całą krwawem swem okrucieństwem. Odbył on prawdziwą pielgrzymkę do kilku dworów, z największym współczuciem był przyjęty przez króla Belgów, który hojnym datkiem pieniężnym przyczynił się do zamierzonego przedsięwzięcia. Wzruszyli się także Anglicy, a Francuzi z zapałem przyjęli znakomitego rodaka.

Zwykle tak się dzieje, że jeśli ktoś wszystkie siły ducha wyteży ku jednemu celowi, nadzwyczajnych rzeczy dokonać może. Kardynał Lavigerie świątobliwą swoją wymową potrafił zwyciężyć obojętność rządów i narodów europejskich, wzbudził zapał powszechny do szlachetnej sprawy, którą podjął i obecnie w Paryżu zbierają się już pod jego przewodnictwem szeregi nowych krzyżowców, które mają wyruszyć

w głąb Afryki, na obronę uciśnionych murzynów od przemo-
cy bisurmańskiej. Oby Bóg błogosławił zacnemu przedsię-
wzięciu.

Najnowsza powieść Deotymy.

Czytając z zachwyceniem drukowaną w „Kłosach ze-
szlorocznych powieść historyczną wieszczki naszój Deotymy,
„Branki w Jasyrze” nieraz z westchnieniem powtarzaliśmy
sobie: czemuż młodzież nasza nie jest przypuszczona do tej
uczty duchowej! Bo wszędzie i zawsze, w każdej chwili ży-
cia, myśl nasza do was się zwraca, kochani czytelnicy, wasz
pożytek, przyjemność wasza, leży nam nieustannie na sercu.
Zastanowiwszy się nad tem uważniej, spostrzegliśmy wkrótce,
że możemy z łatwością przyczynić się do tego, aby was cho-
ciaż po trochu zapoznać z tym znakomitym utworem, nim
nadejdzie pora, gdy będziecie go mogli czytać i wszystkie
jego piękności ocenić i rozumieć. Postanowiliśmy więc po-
dać w „Wieczorach Rodziny” obszerne sprawozdanie z tej
powieści, ażebyście mogli powziąć o niej niejakie wyobraże-
nie i pośpieszyli później, za lat kilka, przeczytać ją w całości.
Powieść ta, pisana prozą, jest jednak od początku do końca
owiana najwznioślejszym tchnieniem poetycznym, zajmuje
treścią ciekawą i zachwyca przepięknym stylem.

Autorka przenosi nas w przeszłość daleką, maluje bar-
wnem piórem ten wiek XIII, gdy w starym Krakowie pano-
wał Bolesław Wstydlivy i święta jego małżonka, węgierska
Kinga, która Polsce przyniosła sól w wianie. A wiemy, że
wszystkie wiadomości, nawet najdrobniejsze szczegóły histo-
ryczne, znakomita autorka czerpała z najlepszych i najwia-
rogodniejszych źródeł. Zanim się zabrała do pisania po-
wieści, utworu natchnienia, nie żałowała wrzód mozolnej
pracy, przewertowała mnóstwo ksiąg starych i nudnych, mnó-
stwo mało znanych dokumentów, z owych zamierzonych
czasów pochodzących. Wiadomo bowiem, że Deotyma z na-
strojem wysoce poetycznym umie połączyć niepospolite wy-
kształcenie naukowe i erudycją.

W XIII wieku, to jest lat temu sześćset, świat cały
wyglądał inaczej, a i ludzie inaczej żyli, myśleli, czuli tylko
zawsze jednakowo, bo uczucia nie ulegają zmianom; więc
kochali, cierpieli, tak samo, jak i dzisiaj, otoczenie tylko
było odmienne. Wyobraźcie sobie, że wówczas nikt w Eu-
ropie nie domyślał się nawet istnienia Ameryki, Kolumb nie
narodził się jeszcze; Azja była wprawdzie znana od czasów
niepamiętnych, lecz nikt nie wiedział, co się dzieje w głębi
tego ładu i Wschód z tego powodu przybrał dla mieszkań-
ców Europy barwy jakiegoś tajemniczego, fantastycznego. Wojny
krzyżowe odchyliły po części tę zasłonę, lecz tylko po części;
rycerze krzyżowcy, pod wpływem zapału i uniesienia, wszy-
stkiemu, co tam widzieli, nadawali barwę nadzwyczajności,
cudowności prawie. Zresztą, dla nich Palestyna, grób Chry-
stusa, miejsca poświęcone, stanowiły cel usiłowania i jakoby
granice świata. Co się działo dalej, poza Palestyną, o tem
już tylko z bajecznych wieści wyobrażenie sobie tworzono.

Aż oto nagle z tych tajemniczych, nieznanych otchłani
Wschodu wynurzył się lud groźny, potężny, nawałą straszną
posunął się na zachód, zapragnął świat cały zagarnąć pod
swoją władzę, a tymczasem, jakby widmo zniszczenia, wszę-
dzie po drodze siał przed sobą śmierć i pożogę. Autorka
obrała właśnie chwilę powstania państwa mongolskiego
i szybkiego wzniesienia się tego plemienia do najwyższej po-
tęgi. Mongołowie to pod nazwą Tatarów przez czas tak długi
najeżdżali i trapiли naszą krainę, a w XIII wieku, za rządów
Bolesława i Kingi, przypadają najpierwsze ich napady.
Autorka nie tylko dzieje Mongołów, w kronikach dawnych
zapisane, lecz obyczaje ich, zwyczaje, sposób życia, w naj-
drobniejszych szczegółach zbadała i wysłedziła. W nieje-
dnej powieści historycznej czytaliśmy opowiadanie o napa-
dach Tatarów, o walkach z nimi toczonych, lecz „Branki

w Jasyrze” wprowadzają nas do obozu pohańców i ukazują
nam wśród właściwego otoczenia życie ich domowe; niedość
na tem, z temi brankami wędrujemy wraz z koczowniczą
zgrają w głąb siedzib jej azyatyckich, rzadko kiedy dotknię-
tych stopą europejczyka. A wszędzie w tych opisach, na
bajeczne powieści zakrawających, bogata fantazyja autorki
pozostaje zawsze w zgodzie z prawdą dziejową. Raz po
raz przytacza świadectwa dawnych podróżników, zazwyczaj
świętobliwych chrześcijańskich misjonarzy, którzy z nie-
ustraszoną odwagą i poświęceniem bez granic szli na kraj
świata, niosąc poganom dobroczynne światło wiary.

Wspinały prolog odsłania najpierw przed oczyma na-
szemi przepyszny krajobraz na wybrzeżach rzeki Hżanki,
gdzie już wówczas, wśród lasów przetrzebionych i pól upra-
wnych stał na górze zamek obronny, Hżą zwany, do bisku-
pów krakowskich należący. Droga, wijącą się brzegiem
rzeki, postępuje pielgrzym; przybywa on z daleka, aż z Ziemi
świętej, bywał więc za górami, za morzami, wiele pięknych
i dziwnych rzeczy widział, a jednak zachwyca się urokiem
okolicy, bujnych lasów, pól żyznych, a zwłaszcza okazałych
zameczków, napotkanych po drodze. Już minął Hżę i parę
innych siedzib podobnych, nigdzie nie wstąpił, chociaż czuł
potrzebę spoczynku i posiłku, bo każdy z tych gmachów „wy-
dawał mu się jakiś groźny, jakiś złowrózeczny, odchodził więc
mówiąc sobie: Jeszcze dalej poszukam”.

Pielgrzym, zwyczajnie jak pielgrzym, był ubogi, za-
dnych bogactw doczesnych nie miał przy sobie, żył po dro-
dze z jałmużny, nie potrzebował więc na pozór obawiać się
złych ludzi, chciwych rabusiów, których w czasach tych nie
brakło nawet i po zamkach, nietylko po lasach. Lecz drżał
pobożny wędrowiec o skarby innego rodzaju, a chociaż ukry-
wał je staranie, posiadanie ich każdy odgadnąć mógł łatwo,
boć pielgrzym nie wracał nigdy z miejsc świętych z próżne-
mi rękami, musiał przynosić z sobą jakieś relikwie drogo-
cenne. Na relikwie zaś w tych czasach powszechniej ciemnoty
łakomili się nawet i bezbożnicy, i złoczyńcy; jeżeli ludzie ro-
zumni i świętobliwi pojmowali prawdziwe ich znaczenie i sto-
sownie do tego je cenili, to źli i zabobonni uważali relikwie
za toż samo, co amulety pogańskie. Dla tego to nasz piel-
grzym był tak ostrożny w wyborze gościńcy.

Ażeby wam dać dokładniejsze wyobrażenie o prze-
pysznym obrazowaniu, a zwłaszcza zapoznać was z nieporó-
wnanym stylem autorki, przytoczymy tu dosłownie dłuższy
ustęp z tego pięknego prologu.

„Po południu doszedł pielgrzym do zameczku tak prze-
ślicznego, takim wiejącego urokiem, że odrazu powiedział
sobie:

— Ej! tu już chyba sami dobrzy ludzie muszą mieszkać.

Znużony, siadł w gęstem zarośnięciu i zaczął przyglądać
się obrazkowi z niewinną, ale gorącą zazdrością. Pierwszym
powodem zazdrości, jakiej doznał już na widok Hży, jakiej
doznawał w obec każdego grodu albo zamku, było poczucie
bezpieczeństwa, tak wówczas rzadkie, tem żywiej żądane.
W epoce niustannych napadów, zrad, odwetów i zasadzek,
tylko ten, co mieszkał w dobrej twierdzy, mógł iść spać spo-
kojnie i być *prawie* pewnym, że jutro będzie u siebie obiado-
wał. Reszta ludzi żyła z dnia na dzień, gorączkowo, bez
ładu, raz używając zanadto łakomie, drugi raz przymierając
głodu.

To też dla biedaka, zwłaszcza dla wędrowca bez dachu,
marzeniem najwyższego szczęścia było: mieszkać spokojnie
za murami, i to za własnymi, posiadać mocną załogę, i to
własną, żyć na łonie rodziny własnej, nakoniec gości przy-
jmować tylko z dobrej woli i z wyboru, a nie z gościńcowego
postrachu. Nasz pielgrzym tem bardziej odczuwał to wszy-
stko, że w dzieciństwie zaznał był podobnych słodczy, a za-
wistny los pozbawił go ich właśnie w porze, w której umiał
już je oceniać.

Nie samem jednak tylko bezpieczeństwem ten zamek
przynęcał; wiało też inne jeszcze wrażenie, którego podróżny
nie umiał nazwać, ale które określił sobie temi wyrazami:

— Gdyby tędy przechodził jeden z tych trubadurów, których spotykałem w Prowancyi, stanąłby tu i zaśpiewał.

Zameczek o szarych, kamiennych ścianach i pięciu naltoczonych basztach, zdaleka już przyciągał oczy, chciwie kształtów i barw odmiennych od niekończącej się nigdy zieleni. Zbudowany był dziwnie hardo na wierzchołku wzgórze tak wysokiego, że lud okoliczny zwał je „górami.” Inne wyniosłości, lasami poszyte, zsuwały się za nim w jedno tło tajemnicze. W dole, między zaroślem, przeblyskiwała jakaś rzeczka, może jeszcze Łżanka, którą podróży już kilka razy tracił z oczu i odnajdywał. Z jej biegiem szła starannie wysadzona dróżka, która dalej nagłym skokiem przerzucała się na zamkową górę i żółtym wężykiem prowadziła do głównej baszty. Ze wszystkich ta była najgrubsza i najwyższa; przez jej wnętrze biegła sklepiona brama z bronami i łańcuchami; na jej płaskim wierzchołku powiewała chorągiew, znak, że pan zamku wrócił z wojny lub jeszcze nie pojechał na nią, znak wówczas dość rzadki. W około chorągwi krążył nieustannie strażnik wieżowy, jedyny przedmiot ruchomy w tym obrazie, i zaciekawiający oczy, bo jego broń i trąba kolejno to znikaly, to migaly na słońcu, kiedy przesuwiał się po-za murkiem zębatym, jakim baszta była u szczytu obrębiona.

Cztery inne wieże miały dachy strzeliste, nierówniej wysokości; widać, że zamek nieodrazu powstał; z początku może ograniczał się na jednej baszcie? Z pokoleniami powoli przrastał. Ci co go dobudowywali, nie myśleli pewnie o jego piękności, i właśnie z tej przyczyny stworzyli dzieło piękne i nieskrępowane w rozroście, jakby coś żywego. Każda baszta miała inny kształt i rozmiary; jedna szczególnie przyciągnęła uwagę pielgrzyma: była sześciokątna, prostopadłe ze wzgórzem ścięta, a z jej piętra, wysoko, wysuwała się jeszcze maleńka, okrągła wieżyczka, oparta na podstawie skrzyżowanej nakształt ślimaka, przykryta mszystym daszkiem nakształt dzwonka. Z wieżyczki wybiegł półkolisty ganeczek, misternie dziergany w kamieniu, jakby brzeżek alby. Na ganeczek wyprowadzało wązkie długie okno, głęboko w mur wklęsnięte, obramowane grubą rzeźbą, której obie taśmy w górze wiązały się lukiem. Tak cała ta wieżyczka, na ciemniejszym tle murów bielejąca, wyglądała jakby kropielnica, którą chyba anioł tam zawiesił, bo pod nią była tylko przepaść, nad nią tylko niebo.

Ale co podróznego jeszcze więcej zachwycało, niż śmiałość kształtów i przejrzystość rzeźbień, to maleńki ogródek, co się rozciągał pod wieżyczką na spadziścioci góry; woniały w nim różne ziółka, zapewne potrzebne do apteczki domowej, czerwieliły się i różane krzaki. Podobna ozdoba i to nie za murami, była wówczas istnem zjawiskiem, świadczącym, że mieszkańcy musieli oddawna używać dni spokojnych, kiedy bawili się w takie śliczności. Świadczyło za tym spokojem i wysadzenie dróżki owocowemi drzewami, i gaje rozsypane po górze; wszystko to było jeszcze młode ale krzepkie; zamek chyba od lat całych nie doznał oblężenia, kiedy mógł się takiój drzewiny dochować.

Wszędzie znać było staranność ręki roztropnej i pieściwej, tak, że pielgrzym sobie powiedział:

— Musi tu mieszkać piękna i cnotliwa niewiasta.

I jakby w odpowiedzi na to przypuszczenie, strażnik wieżowy uderzył w trąbę, oznajmiając nadjeżdżających gości, a po chwili drzwi wieżyczki się otwały, i na ganeczek weszła niewiasta jasnowłosa, niebieskooka, biała, przejrzysta i wiotka.

Miała sukienkę lazurową jak niebo, przy szyi wyciętą w trójkąt ze złotym brzeżkiem, poniżej bioder przewiazaną błyszczącym pasem z klejnotami. Na piersiach wyszyte były dwa różnobarwone herby. U wierzchu głowy nosiła rodzaj płaskiego biretu ze złotój lamy, objętej perłowem futerkiem, z pod którego wysuwał się biały, mięsisty welonik, ułożony w kształt bramki, tak że czoło zakrywał do połowy, a z obu stron twarzy opadał swobodnie na ramiona, podczas kiedy drugi pod spodem obejmował lica i szyję obwiązką miękką jak obłoczek. Włos jednak nie był zu-

pełnie schowany, i mimo przytulności obsłonek, wydobywał się przy obu skroniach kilku złotemi kędziorami. Ów spodni rąbek nazywany „podwijką”, i dwoistość herbu na sukni, pokazywały, że pani ta musi być zameżną.

Za nią wybiegło dziecię maleńkie, bieluchne, różowiuchne, w sukience także błękitnej, z włoskami także jasnymi, nawet jeszcze jaśniejszemi, niżeli u niewiasty; bujność tych włosów przechodziła zwyczajną miarę, pukle starannie pozwijane aż po pas wisiały dziecinie, tworząc wokoło niej złoty, ciągły ruchomy płaszczyk

Na ganeczku było dla dwojga ciasno, dziecię niebacznie czeptało się poręczy, więc niewiasta wzięła je na ręce, i tak stojąc prawie nadpowietrznie, oprawiona w rzeźbę wieżyczki, przypomniła pielgrzymowi te święte posągi, które ówcześni mistrzowie umieli tak lekko przystawiać do goetyckich filarów. Dziecię śmiało się i całowało niewiastę, ona jedną ręką je tuliła, drugą mu pokazywała stronę lasu, gdzie też i jej własne oczy ślały wzrok pełen oczekiwania.

Z lasu wyjeżdżał orszak myśliwych, a na ich czele była także kobieta. Niośł ją koń kary, z białą strzałką na czole, z szyją o łabędzich ruchach, ognisty a pieściwy, jakby stworzony dla owój amazonki, bo i w jej urodzie potęga z miękkością dziwnie się łączyła. Pomimo postawy siedzącej, znać, że wysoka i majestatyczna. Suknia jakby ulana ściśle rysowała pełne kształty. Była ta suknia barwy ciemno-karmazynowej, obłożona pysznemi sobolami. Pasy ją ścisnęły aż dwa: jeden niezmiernie szeroki, z ciemnej skóry, nabijanęj skówkami i guzami, zapinał się w samęj kibici, jędrnie odznaczając jej wcięcie. Drugi, węższy, niżej opuszczony, połyskał na szacie wygięciami srebrnej obręczy. Rękawy, szczelnie obcisłe, odmienne od całej sukni, mieniły się pstrą tkanką jedwabną, która była naówczas przedmiotem rzadkim i kosztownym. Gęste brwi, długie rzęsy, grube warkoczki łowczynie zdawały się także sobolowe. Była, jak nazywano, „przetowłosa”, to jest bez rąbków ani białych obwiązek; owe tylko warkoczki spuszczaly się jak dwie wstęgi od skroni i spadały na piersi, a wkoło włosów biegł cienki złotolistny wianuszek. Takie ubranie głowy oznaczało pannę. Nielatwo było jednak te szczegóły dojrzeć, bo całą jej osobę osłaniał ogromny płaszcz zielony z kapturem, nasuniętym na głowę; z tyłu, od kaptura wywijał się sznur złoty który zwykle przez ramię zwieszano ku przodowi; zwyczaj wygodny, za jednym pociągnięciem sznura, kaptur sam opadał. Płaszcz spinał się pod szyją na dwie klamry, szeroko połączone taśmą, a że nie miał rękawów, jadąca odrzuciła go na obie strony, aby uzyskać wolność ruchów, dla obu rąk potrzebną, bo w jednej jej ręce spoczywały cugle, na drugiej, nieco podniesionej i obciążonej grubą rękawicą, siedział najprześliczniejszy sokół, tak zakapturzony, jak i jej pani.

• (d. c. n.)

ZADANIE KONKURSOWE

Z NAGRODĄ.

Przykro jest zapewne poddawać komuś smutne myśli i nie należy tego nigdy czynić bez powodu. Lecz jeśli myśl poważna, chociażby troszkę zasmucająca, może korzyść przynieść, czy rozsądnie byłoby opędać się od niej, byle tylko nie przerwać sobie ani na chwilkę wesołego usposobienia? Otóż i ja mam nadzieję, że czytelnicy i czytelniczki nasze nie wezmą za złe życzliwej Gołąbce pocztowej, jeżeli tym raze niezbyt wesoły przedmiot wybierze do konkursowego zadania

Niech każdy, kto chce do tego zadania należeć, wbrazi sobie, że naraz, w skutek nieprzewidzianego okoliczności, pozostał sam jeden na świecie, pozbawiony i opieki rodziców lub krewnych, a nadto ogólnie wszelkich środków do życia. Jednem słowem, że bez niczyjjej pomocy, dawać sobie radę na świecie,

chce zginać z głodu, lub o jałmużnę prosić. Pytam zatem, coby w takim ciężkim położeniu poczynił, jakich sposobów próbowałby się chwycić, aby o własnej sile zdobyć byt i utrzymanie? Napisać to treściwie, zastanowiwszy się dobrze, pomysł swój o ile możności wyrazić jasno, prostymi słowami, napisać to, co się myśli, szczerze i otwarcie. Najlepsze odpowiedzi będą nagrodzone.

Zwrócić uwagę na warunki następujące: do konkursu mogą należeć czytelnicy i czytelniczki do lat 15-tu, co znaczy, że kto ukończył lat 15, choćby wczoraj dopiero, a dziś rozpoczął 16-ty, już traci to prawo. Przy odpowiedzi należy się podpisać imieniem i nazwiskiem prawdziwym, wymienić lata, adres dokładny, a oprócz tego dodać pseudonym do druku. Wszystko to powinno być wypisane na tym samym papierze, nie na osobnych karteczkach, które łatwo wypadają i zatracają się. Odpowiedzi będą przyjmowane do 20-go Lutego według nowego stylu. Kto tych warunków tak łatwych do spamiętania nie wypełni, musi być wyłączony z konkursu, a odpowiedź jego, z wielkim żalem redakcyi i moim, idzie do kosza. Uprasza więc usilnie o troszkę uwagi

życzliwa Gołąbka pocztowa.

P. S. Wszystkim przyjaciółczkom miłym, które mi przesyłały opłatki i powinszowania noworoczne, najserdeczniejsze podziękowania przesyłam.

Gry towarzyskie.

Wiadomości. W grach tego rodzaju, do których wchodzi większa ilość osób, głównie do ożywienia i rozweselenia towarzystwa się przyczynia zbieranie i sądzenie fantów. Przy grze w „Wiadomości”, którą podajemy teraz, można wkrótce mnóstwo fantów nabierać, dlatego też polecamy ją w nadziei, że się wszystkim podoba i niejedną godzinkę rozweseli.

Wszystkie osoby siadają przy sobie w koło, jedna z nich zaczyna grę, biorąc do ręki chustkę, u której się zawiązuje parę węzłów na rogach, ażeby się dała podrzucać. Zaczynający tę grę rzuca chustkę do którejkolwiek z osób, wolno mu wybrać kogo chce, a zarazem zapytuje:

— Jakie tam dziś w dziennikach wiadomości?

Zagadnięty powinien w tej chwili, bez namysłu, odpowiedzieć na to pytanie krótko, w dwóch lub trzech wyrazach, a ostatni ma rymować z wyrazem „wiadomości”. I tak np. można odpowiedzieć:

- Zapowiadają gości.
- Same przykrości.
- Wielkie mądrości.
- Żądają cierpliwości.
- Mnie to złości.
- Płatą z zazdrości i t. d.

Rozumie się, że niepodobna wymagać od tych odpowiedzi jakiegoś rozsądnego znaczenia, mogą być nawet bez żadnego sensu, byle mniej więcej stosowały się do zadanego pytania. Jest mnóstwo wyrazów, kończących się na „ości”, jednak w końcu muszą się wyczerpać, a każdy, kto powtórzy wyraz, już przedtem wypowiedziany przez kogo innego, płaci fant; płaci go także ten, kto nie odpowie natychmiast, lecz namysła się dłużej, aniżeli np. do trzech zliczyć można.

TREŚĆ: Ptaki zimowe (z drzew.). — Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amerykańskich, przekład z angielskiego. — Księga pamiętnych czynów. — Wierszyk p. Gabryelę Jasińską (z drzew.). — Najnowszy utwór powieściowy Deotymy. — Zadanie konkursowe z nagrodą. — Gry towarzyskie. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Bębenek Michasia p. Ciocię Janię (z drzew.). — Ogłędna wiewiórka p. A. Z. — Mały piaskarz p. Bronisławę Kuczyńską. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dzieci klanu, powieść przez Joannę Hering (p. Adams-Acton) przełożona z angielskiego przez T. P.

Pytający ma prawo liczyć: raz, dwa, trzy, a potem żądać fanta. Dla zmiany można dobrać inne pytania i inne rymy, pozostawiamy to pomysłowości czytelników.

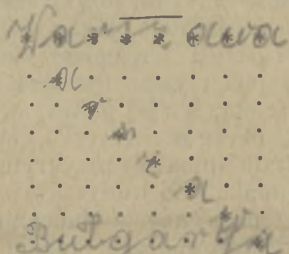
ZAGADKA GŁOSKOWA.

(Od Gołąbki pocztowej dla Jaskółki z nad Sekwany).

Na pięciu stopach stoję, lecz nie jednakowe
Ich własności; dwie pierwsze niewzruszone, stałe,
Wraz z ostatnią, a zmienne są obie środkowe,
I zmienia się wraz z niemi znaczenie me całe.
Więc raz jestem księżniczką precudnej urody,
Co śmierć smutną poniosła pośród nurtów wody;
To znów rzeką, co bieży od stóp Łysiej góry
W stronę, kędy słynące cudami są mury.
A potem jestem częścią angielskiej krainy,
Mą nazwę noszą królów pierworodne syny;
Następnie jestem znowu częścią ludzkiej twarzy,
Owadem, co w powietrzu szklane skrzydła waży,
Aż nakoniec niepokój i niezgodę głoszę.
Teraz w sześciu znaczeniach odgadnąć mnie proszę.

Łamigłówka geograficzna.

(Od Trawki z nad Konika dla Kanarka).



Wypisać 8 wyrazów, aby litery, zastępujące gwiazdki, tak w ~~podanym~~ jak ukośnym kierunku, utworzyły nazwę miasta w królestwie polskiem. Znaczenie wyrazów: 1. Miasto. 2. Prowincya w kraju naszym. 3. Miasteczko powiatowe w królestwie polskiem. 4. Miasteczko powiatowe nad rzeką Lidynią. 5. Miasteczko w powiecie Błońskim. 6. Miasteczko powiatowe nad Wisłą. 7. Miasto w Bośni. 8. Państwo w południowej Słowiańszczyźnie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go.

Łamigłówki głoskowej:

Ogonem raka jest litera *k*, głową *ostrygi* *o*, *ul* ma dwie tylko litery, więc *l* połowę jego stanowi, środek *śledzia* *e*, łeb *niedźwiedzia* *n*, wreszcie końcowa litera *obiadu* *d* i początkowa *ambrozyi* *a*, dopełnią razem wyrazu *kolenda*.

Łamigłówki zgłoskowej:

ObeD—DorE—YeddO—NogaT—InfantY—Efraim—CecyliA.

Odyniec — Deotyma.



Bębenek Michasia.

BĘBENEK MICHASIA.

Michaś widział nieraz u chłopczyków znajomych ładne bębenki, próbował nawet wybijać na nich kijkami: bum, bum, bum! Nie miał jednak swego własnego bębenka, bo mama zawsze mówiła, gdy jej prosił, żeby mu kupiła taką prześliczną zabawkę, że nie można, bo z te-

go będzie straszny hałas w pokoju. Michaś był grzeczny i posłuszny, nigdy się niczego nie napierał, miał inne zabawki, żołnierzy malutkich w pudełku, konika, pieska na kółkach, zapominał więc o bębenku, póki go nie zobaczył u którego z małych przyjaciół. Ale gdy obaczył, nie mógł się nasz Michaś powstrzymać od westchnienia, ach! inni bawią się tak prześlicznie, tak

ochoczo kijkami biją, a odgłos rozchodzi się tak wesoło, bum, bum, bum!

Wyobraźciez sobie, jak się chłopczyk ucieszył, gdy wujaszek jego, przybyły na święta do Warszawy z daleka, ze wsi, podarował mu na Nowy Rok najpiękniejszy w świecie bębenek i parę kijków. W pierwszej chwili Michaś uwierzyć nie mógł, ażeby ten podarunek naprawdę był dla niego. Już od tak dawna nadaremnie wdychał do bębenka, mama zawsze powtarzała, że nie można, a rozsądny i dobry synek nie sprzeczał się, powiedział więc sobie także: skoro nie można, to nie można. Teraz też trzymając w rączkach bębenek, przez wujaszka podarowany, Michaś w pierwszej chwili ucieszył się tak bardzo, że o wszystkim zapomniał, lecz potem podniósł oczki na mamę i dziwnie mu się jakoś zrobiło. Mama wyglądała niezadowolona, poznał to Michaś od razu, nic nie mówiła, ale patrzyła na wujaszka jakby z wyrzutem. Michaś bez namysłu podbiegł do mamy i spytał:

— Mamuniu, czy można wziąć ten bębenek? — a głosik jego taki był żalony, że mama także bez namysłu objęła go czule i uściskała, po chwili zaś powiedziała łagodnie:

— Już skoro ci wujaszek daje ładną taką zabawkę, to ją wziąć możesz, nie chcę ci sprawiać przykrości, Michasiu, przeciwnie cieszę się zawsze każdą twoją przyjemnością. Jeżeli dotychczas, pomimo prośb twoich, mój synku, nie kupiłam ci nigdy bębenka, wierzaj mi, że miałam do tego ważną przyczynę. Mieszkanie nasze nie jest obszerne, w pokoju babuni słychać wszystko, co się dzieje w domu, każdy hałas do niej dochodzi. Babunia jest bardzo dobra, eierpliwa, nie chciałaby nikomu sprawiać najmniejszej przykrości, nigdy więc sama o tem nie wspomina, co jej szkodzi lub dokucza. Ale ja wiem, że każdy stuk i łoskot sprowadza jej przykry ból głowy. Strach mnie zbiera, mój drogi Michasiu, jak pomyślę, co to będzie teraz z tym twoim bębenkiem.

— Mamusiul — zawołał żywo Michaś — ja będę tylko wtenczas bębnił, jak babunia z domu wyjdzie, albo wyjedzie. Nie chcę, żeby ją głowa bolała z mojej przyczyny.

— Babcia rzadko kiedy wychodzi lub wyjeżdża — odpowiedziała mama — często, jak niepogoda, i przez dni kilka z domu się nie rusza.

— To nic, mamusiu — mówił chłopczyk — ja będę sobie patrzył na bębenek, on taki prześliczny nawet i bez bębnienia. A czasem pójdę z mamą do cioci, zabiorę z sobą bębenek i razem z Henryczkiem ciocinym będziemy się bawili w żołnierzy. Tam nikogo od bębnienia głowa nie boli, Henryczek po całych dniach hałasuje.

— To prawda — rzekła mama — czy tylko potrafisz się powstrzymać w domu od tej zabawy, mając ciągle pod ręką bębenek?

— Potrafię, mamuniu — upewniał chłopczyk — żeby mi się nawet niewiem jak zachciało, to z pewnością się odechce, jak sobie przypomnę, że babcię kochaną głowa boleć może od tego.

I dotrzymał Michaś obietnicy. Stawiał zwykle bębenek na stoliku, obok kładł pałeczki i przypatrywał

się ładnej zabawce, a potem spokojnie, cichutko, rozkładał żołnierzy blaszanych, budował domki z kawałków drzewa i nigdy się nie zdarzyło, aby uderzył choć raz w bębenek, póki babcia była w domu. Ale jak tylko wyszła lub wyjechała, chłopczyk przewieszał bębenek na tasie mce przez plecy, wkładał na głowę mufkę mamina, a w tym futrzanym kołpaku wyglądał przepysznie, jak prawdziwy wojak; brał w rączki obie pałeczki i dopiero po całym domu rozchodziło się donośne bum, bum, bum!

Jak tylko usłyszał w przedpokoju kroki babuni, wracającej do domu, natychmiast przestawał bębnić, nigdy mama nie potrzebowała mu tego przypominać. Babcia nie domyślała się nawet, że poczciwy wnuczek wstrzymuje się od ulubionej zabawy, ażeby jej nie sprawić bólu głowy. Nieraz zasłyszawszy odgłosy bębenka ze wschodów, gdy powracała, spytała się chłopczyka:

— Czemuż sobie nie bębnisz dłużej, Michasieczku?

Ale on zawsze śpiesznie odpowiadał:

— Dosyć się już nabębniłem, babuniu, teraz będę się bawił czem innym.

Tak to dobry Michaś nawykł od dzieciństwa powstrzymywać się dobrowolnie od własnej przyjemności, ażeby innym nie zaszkodzić i nie dokuczyć. Na dobre mu to wyszło, bo i na później zachował to dobre przyzwyczajenie, nigdy sobie nie dogadzał ze szkodą bliźnich i wyrósł na zacnego, szlachetnego człowieka.

Cioccia Jania.

OGLEDNA WIEWIÓRKA.

Dwie wiewiórki
Raz w pazurki
Ujawszy orzechy,
Siadły obie,
Każda sobie,
W progu własnej strzechy,
I tak gawędziły
W letni wieczór miły:
— Już ja dosyć mam zapasu.
— A ja jeszcze nie.
— Do żniw przyszłych starczy czasu.
— Starczy też i mnie,
Lecz ja lubię mieć zapasy
Nie dla siebie jednej,
By krewniaczce w głodne czasy
Przysłużyć się biednej.
Jak mówiły,
Tak zrobiły,
Dwie mieszkanki lasu,
Jedna dalej pracowała,
Druga zaś, próżniaczka mała,
Używała wczasu.
Wtem chłopaki w dni zimowe
Dopatrzyli zbioru,
I zabrali go połowę
Pewnego wieczoru.

Choć nie mieli serca całej
 Zdobyczy zabierać,
 Przecież i tak próżniak mały
 Musiałby umierać,
 Gdyby krewna tój próżniaczki
 Nie żywiła nieboraczki.

A. Z.

MAŁY PIASKARZ,

opowiedziała BRONISŁAWA KUCZYŃSKA.

Na wszystko, a więc i na noszenie piasku są pory odpowiednie. Na wiosnę, gdy już spłyną śniegi i pogoda jako tako się ustali, szorują na wszystkie strony mieszkania, schody, i żeby nie zanadto prędko się potem zabrudziły, posypują grubo piaskiem. Na Zielone Świątki także każda porządna gospodyni ubogiego mieszkanka koszyczek piasku kupuje i razem z tatarakiem rozsypuje po podłodze. Ale już najwięcej potrzeba piasku na jesieni, kiedy marchew, pietruszkę w piwnicach na zimowe przechowanie układają, a żeby je przed mrozami osłonić. Jeszcze więcej wychodzi go do okien, bo też w każdym najuboższym nawet mieszkaniu nasypują grubą warstwę między podwójne okna, aby zimny wiatr nie tak łatwo miał przystęp, lub też gdy zamarznęte szyby pod wpływem słońca roztając zaczynają, warstwa pocziwego piasku chłonąc w siebie wilgoć mogła i wodzie do pokoju dostać się nie pozwoliła.

Słyszał o tem nieraz mały dziesięcioletni Józio, mieszkający z matką przy jednej z ulic ponad Wisłą leżących; znał kilku chłopców, co roznoszą piasek po ulicach i oni to właśnie mu opowiadali, jak ich panowie cieszą się, gdy jesień się zbliża, bo pewność jest, że zarobek będzie dobry. Józio dotychczas nie potrzebował o tem myśleć, aby coś zarobić, bo ojciec jego mularz był bardzo dobrym robotnikiem i tak się zawsze umiał postarać o pracę, że nawet i w zimie, choć mularze nie mają zarobku, nigdy nie było biedy w jego domu. Ale nieszczęście się przytrafiło biednemu Janowi, gdy wczesną wiosną nie było jeszcze roboty mularskiej, najął się do pomocy przy budowaniu łazienek na Wiśle i nieważnie jakoś oparłszy się na źle przytwierdzonej desce, wpadł do wody i utonął, bo nie było nikogo w pobliżu, ktoby go uratował.

Józio dobrze pamiętał tę straszną chwilę, widzi on i teraz smutek i łzy matki i radby temu zapobiedz, ale jest taki jeszcze mały, że choć myślał i myślał przez wiosnę i lato, nic nie wymyślił. Teraz dopiero, gdy widzi, jak nad Wisłą ruch większy się zaczyna, fura za furą zajeżdża nad rzekę, i jemu także przychodzi ochota zaciągnąć się w szeregi chłopców, roznoszących piasek i tym sposobem choć cokolwiek matce ulżyć. Chodził on już przedtem do szkoły i czytać umie trochę, a i pisał już niezgorzej; ale teraz to i niema o czem myśleć, niema czem ani szkoły opłacić, ani za co książek i kajetów kupić. Na stariej historii świętej czytał on sobie często, lecz już prawie do słowa całą książkę umie, więc go nie zajmuje to czytanie.

Matka od czasu śmierci ojca pranie przyjmuje, on później koszyk z nią odnosi a i wieszac upraną bieliznę pomaga. On i teraz wieczorami wszystko będzie robił, co potrzeba, a w dzień będzie piaskarzem. Nauczył się wołać głośno i zrozumiale „piasku białego, wiślanego!” poprosił znajomego chłopca, aby go do swego pana zaprowadził i ugodziwszy się po piętnaście groszy na dzień na początek, zaczął chodzić po mieście i obwoływać swój towar.

Z początku był bardzo nieśmiały, nie mógł jakoś wydobyć głosu, z czasem jednak, po kilku tygodniach, wprawił się, donośnym głosem dawał znać mieszkańcom, iż mogą nabyć potrzebnego zapewne piasku i żwawo biegł choćby na najwyższe piętro, bo od tego zależało podwyższenie płacy. Wracał do domu przeziębły, i głodny, i bardzo zmęczony, pocziwa matka zawsze przygotowywała dla niego coś gorącego, aby jednocześnie rozgrzał się i posilił.

Gdy już coraz było zimniej, wyszukała dawną jakąś czapkę męża, zmniejszyła, podwatowała, a żeby chłopcu tak głowa nie ziębła, szczególnie gdy rano pomagał przy nakładaniu piasku na furę, a wiatr mroźny z nad Wisły przejmował całą drobną jego postać. Mały był rzeczywiście, i aż się przygarbił, gdy trzeba było wziąć dwa koszyki na ramiona, ale zawsze był greczny dla wszystkich, wchodząc do kuchni, czy też do stancyjki, zaraz zdejmował czapkę i witał obecnych uprzejmem pozdrowieniem. Dlatego to lubiły go wszystkie kucharki i gosposie, którym stale dostarczał co tydzień koszyczek piasku i nieraz obdarzały go kawałkiem chleba.

Razu pewnego, około dziewiątej godziny z rana, Józio wszedł na jedno podwórze, gdzie nigdy jeszcze nie był. W chwilę po jego zawołaniu otworzył się lufcik na drugim piętrze i jakaś służąca wezwała go skinieniem. Wbiegł szybko na schody i otworzył drzwi po lewej stronie się znajdujące, w kuchni nie było nikogo, postawił więc koszyczek i czekał, sądząc, iż służąca oddaliła się na chwilę. Gdy parę minut jednak już upłynęło, a nikt nie przychodził, Józio uchylił drzwi do pokoju wiodące, myślał, że tam się ktoś znajduje i chciał zapytać, czy piasek niepotrzebny.

Lecz chociaż i tam nie było nikogo, chłopczyzna od progu posunął się ku środkowi pokoju, gdzie stał stół i na nim porozkładane książki i kajety. On tak dawno tego nie widział, a tak lubił się uczyć, że mimowolnie zbliżył się do kajetu, świeżo widocznie porzuconego, dowodził tego atrament jeszcze nie zatknięty; litery tam były pisane niewprawną widać jeszcze ręką, bo krzywe i niezgrabne chyliły się na wszystkie strony. Na widok tych wszystkich przyborów do pisania, chłopczyzna uczuł tęką ochotę spróbować, czy też on jeszcze potrafi postawić takie litery, a może i lepiej mu się uda, bo on już daleko ładniej pisał, gdy chodził do szkoły, że nie namyślając się długo, chwycił pióro i kolejno literę za literą kreślić zaczął.

Nie szło mu to łatwo wcale, bo zapomniał trochę i rękę miał zmęczoną od ciągłego noszenia koszyków z piaskiem lub z bielizną, a jednak równe i kształtne literki wychodziły z pod jego pióra. Zaledwie doszedł do litery k, drzwi od jakiegoś pokoju otworzyły się

i wbiegł dziewięcioletni może chłopiec. Zobaczywszy nędznie ubranego Józia, krzyknął:

— Co to za obdartus? Magdaleno, może to złodziej!

Wbiegła za nim i służąca, owa Magdalena i także azonego Józia krzyczeć zaczęła i wypędząć go z pokoju.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA. (Skowronek z nad Wisły).

Z następujących zgłosek: a — a — dy — dzia — dzie —
er — ga — ko — kas — le — li — la — lin — mia — ny — ne — pe —
no — nie — nie — nek — o — pa — pak — pos — ra — ri — ron —
rze — rum — rat — rzy — rzy — ski — tor — wie — ze — ułożyć
wyrazy: 1. Ptak. 2. Rzeka w Ameryce. 3. Cesarz rzymski. 4. Naród starożytny. 5. Góra w Azji. 6. Tytuł poematu. 7. Bogaty mieszczanin krakowski. 8. Zwierz dra pieżny. 9. Zwierzęta górskie. 10. Miasto w Azji. 11. Pisarz rzymski. 12. Roślina. 13. Wojewoda poznański. 14. Działanie arytmetyczne. Pierwsze i ostatnie litery, od góry do dołu, utworzą tytuły słynnych poematów.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 51-go.

Łamigłówni arytmetycznej:

Wszystkich łapek było razem 72.

Skrzynka do listów.

Pani Gilewiczowej. Cztery ruble oddane podług życzenia.

Śnieżycy i Krasnolicy dziękujemy serdecznie za przysłany opłatek i życzenia. Może Bóg pozwoli, że się spełnią i że kierownicza pisma długo jeszcze pracować będzie dla tych wszystkich ukochanych swych czytelników, które tak sownie nagradzają jęj trudy, płacąc sercem i wdzięcznością, na co ona zawsze zasłużyć pragnie.

Gospościa z nad Warty bardzo zabawnie opisała nam przygodę z grzybami, biedna gospościu, jakto dobrze, że jeszcze prawdziwą nie jesteś gospośnią, cóż stałoby się z temi, którychbyś temi grzybami poczęstowała? Za życzenia najserdeczniej dziękujemy. Ślicznie Gospościa wyrazić je umiała.

Jesieni radzimy kupić kosmografią Jędrzejewicza i chemią Znatowicza.

Hr. Olga Platerowna. Książki posłane kosztują rs. 1 kop. 95.

Kropelce rosy i Szarotce dziękujemy serdecznie za obietnicę obdarzania nas liścikami. Nigdy ich nie mamy nadto. Pragniemy bardzo, aby kochana Kropelka jak najprędzej wyzdrowiała i żeby i nadal „Wieczory” z taką radością czytowane były.

Poleszuczke z nad Płtocy zawiadamiamy, że żądany numer posłany został.

Brzydotka z nad Tamizy ma już zapewne odpowiedź, której się spodziewała. Żądaniu jęj i teraz chętnie zadość uczyniono, bo bardzo tu w redakcyi tę Brzydotkę kochają.

Różyczke z nad Ciechanowca witamy pomiędzy nowemi naszymi korespondentkami, obiecując odpowiedź na każdy liścik,

zwłaszcza jeśli tak porządnie i wyraźnie jak pierwszy pisany będzie. Proście staraliśmy się jaknajprędzej dogodzić, zapewne Różyczka otrzymała już to czego chciała.

Kanarkowi dziękujemy serdecznie za rubla i prosimy o powtórzenie tego podziękowania Synogarlicy. Gołąbka pocztowa wszystkim, życzenia jęj posyłającym dziękuje i zapewne niedługo sama na listy odpisze.

Datura nie potrzebuje „wypisywać się” umiejętnie w liścikach, pocziwe jęj serduszek wypowiedziało jasno to, co czuje, a to nam wystarczy.

Woda źródłana wielką radość przyniosła na Gwiazdkę autorce „Dwóch sióstr”, donosząc o dobroczynnym wpływie tęj powieści, gdyż to było najgorętszem życzeniem piszącej. Pocziwe kurki nie powinny jednak nikogo odstręczać od książek, kto chce, na wszystko czas znajdzie.

Switeziance Gołąbka pocztowa wraz z całą redakcyą przesyła powinszowania i życzenia serdeczne. Wierna ta czytelniczka, czytająca Pismo nasze od początku jego powstania aż do uroczystej chwili, gdy stanęła na ślubnym kobiercu, i teraz pewnie o nas nie zapomni, a odpowiedź tę u młodziej siostrzyczki odczyta. Książek kucharskich i gospodarskich jest dużo dobrych i praktycznych, możemy wybrać na żądanie.

Kochana Wiochno z pod Lublina, i Sarenko z nad Moroczul Wy moje drogie wraz z Cyganecką, z nad Wisły (do której pisałam i mam nadzieję, że mi odpisze) tworzycie taką sympatyczną trójkę staruszek, iż nie mogę się oprzeć, by do was nie napisać, żebyście mnie chciały przyjąć do waszego gronka, jako czwartą. Proszę więc odpiszcie i pisujcie do Jesieni. Czy Kropelka wody z Wisły odgadła kim jestem? Jesień.

Kochana Niezapominajko z nad Warty! Liścik twój bardzo mię ucieszył tak, że do sufitu skakałam z radości gdyż był on pierwszy jaki przez „Wieczory”, odebrałam. Ja mam lat czternaście, imię pierwszej żony Władysława Jagiełły; a mieszkam tak jak i ty nad Wartą w maleńkiem miasteczku. Liścik twój zaintrygował mię wielce, jakim sposobem mieszkając w Warszawie podpisujesz się z nad Warty! Prosi o odpowiedź serdecznie cię kochająca Gospościa z nad Warty.

Kochana Lewkonio! Twoja ogólna odezwa do czytelniczek „Wieczorów”, obudziła w mem sercu gwałtowne wyrzuty sumienia, gdyż, Lewkonijko, ze skruczą wyznać muszę, że do mnie pisałaś raz bezskutecznie. Na niewinnienie dodam, że list twój dla braku miejsca nie był drukowany, ale w każdym razie powinnam ci była odpowiedzieć i prędzej czy później uczyniłabym to z pewnością, a twoja odezwa przyspieszyła tylko wykonanie mego zamiaru. Żalującym zwykle się przebacza, ufam więc, Lewkonijko, że zapomnisz o przewinieniu życzliwej Wiochny.

Wszystkim korespondentkom Wieczorów zasyła życzenia wesółych Świąt Kanarek.

Droga Jaskółko z nad Sekwany. Pragnę bardzo z tobą korespondować przez nasze drogie „Wieczory”. Mieszkam na Podolu, na wsi, dom nasz pobudowany w lesie, latem ślicznie u nas. W ziemie nie tyle, ale my się nie nudzimy, mam dobrych rodziców i sześcioro rodzeństwa. Jestem szatynką, wysoką i szczupłą, wcale nie ładną, przytem mam ruchy kozakowate, przez co otrzymuję często nazwę kozy. Oto masz mój wizerunek jeżeli sobie życzysz korespondować z taką, to odpisz na ten list, szczerze kochająca Woda źródłana.

Kochane Jędynaczko i Wodo źródłana! Bardzo mi się podobalaś, droga Jędynaczko, z listu twego do Gołąbki pocztowej. Pragnęłabym pisywać do ciebie, ale nie wiem, czy się na to zgodzisz. Mieszkasz w Krakowie! zazdroszczę ci tego ogromnie, bo mojem marzeniem jest tam mieszkać, ale nie wiem, czy się kiedy spełni. Ty, Wodo źródłana! przypomnialaś mi swoim pseudonymem bardzo mile spędzone wakacje, gdyż tam tylko pijam wodę źródłaną, a tu, gdzie mieszkam, na rzecznęj poprzestać muszę. Pierwszy raz dopiero odezwałaś się, nie wiem więc nic o tobie, donieś mi gdzie mieszkasz, ile masz lat, i gdzie się uczysz? Całuję was serdecznie, Światelko.